



NATIONAL  
GEOGRAPHIC  
POLSKA

*DZIENNIKI Z PODRÓŻY*



**BEATA  
PAWLIKOWSKA**

**Blondynka  
w  
Kambodży**

Blondynka  
w Kambodży

A line drawing illustration of three stylized mountains with faces, two palm trees, and two small figures on a beach. The mountains are drawn with vertical lines and have simple faces with eyes and mouths. The palm trees are on the right, and the two small figures are on the beach in front of the mountains.

tekst, rysunki i fotografie  
Beata Pawlikowska



Azja południowo-wschodnia

 NATIONAL  
GEOGRAPHIC  
POLSKA

*DZIENNIKI Z PODRÓŻY*




**BEATA  
PAWLIKOWSKA**

Blondynka  
w Kambodży



Kambodia

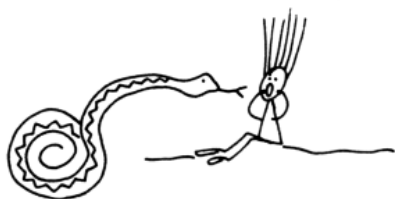




## Mister Snake

Moje serce biło w rytmie na trzy. Nie była to wesola samba ani egzotyczny fokstrot. W zabójczo ponurej ciszy słyszałam szuranie po deskach i dziki taniec mojego serca, które podskakiwało w rytm melodii składającej się z trzech nut, z których każda była bardziej przerażająca, a brzmiały one tak: wąż, wąż, wąż!

Otworzyłam szeroko oczy, w dziwnej nadziei, że może dzięki temu zauważę coś, na co nie zwróciłam uwagi wcześniej, jakiś drobiazg, choćby kaganiec na pysku węża, a może wąż okaże się dżdżownicą, która wypełzła na pomost w poszukiwaniu wilgoci, a może odkryję z ulgą, że ten długi, cętkowany wąż o przenikliwym spojrzeniu jest tylko gumową zabawką i fatamorganą stworzoną przez obłoczki mgły nad jeziorem. Niestety. Im bardziej otwierałam oczy, tym lepiej widziałam prawdę.



W zabójczo ponurej ciszy  
słyszałam szuranie po  
deskach. W moją stronę  
sunął wielki wąż



Siedziałam na pomoście gdzieś pośrodku jeziora Tonle Sap w Kambodży, a po deskach sunął w moją stronę wielki, gładki i bez wątpienia niezwykle żywy WĄŻ. Co robić?! Uciekać do wody? Atakować? Udawać, że jestem kawałkiem drewna przez przypadek przyczepionym do pomostu?

Zresztą, co ja wiem o azjatyckich węzach?!

Spojrzeliśmy sobie w oczy, a wąż dodatkowo polizał powietrze językiem. Sprawdzał gdzie jestem. Węże mają wprawdzie zwykle dość dobry wzrok, ale natura dodała im w prezencie trzecie oko, które choć wygląda jak rozwidlony język, jest w istocie komputerem, który ogląda rzeczywistość dotykając cząsteczek powietrza, wody i ziemi, analizując ich skład chemiczny i wyciągając z tych danych wnioski dotyczące wielkości ofiary, jej położenia, przemieszczania się, przydatności do spożycia, a nawet stanu emocjonalnego.

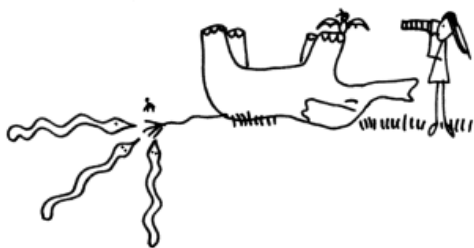
– I co ze mnie wyczytałeś, Mister Snake?...

– pomyślałam ostatkiem trzeźwych myśli, przypominając sobie opowieści o tym, że wąż potrafi zahipnotyzować wzrokiem mysz, żeby nie uciekła mu z kolacji.

Ten wąż? – spojrzałam na niego z powątpiewaniem. Miał wprawdzie ze trzy metry długości i był spasiony na tłustych azjatyckich szczurach, ale sądząc po wzorkach na skórze, nie pochodził z rodziny węży jadowitych, a jego siostry, ciotki i kuzynki nie należały do mafii zabójczych kobr, czyhających gdzieś w pobliżu. Mogły co najwyżej polować na pchły w ogniu zdechłego słonia.



Takie węże mogą co najmniej  
polować na płaty w ogniu  
zdechłego stonia



Wąż zatrzymał się na chwilę i poruszył niepokojnie głową. Zwierzęta potrafią z daleka wyczuwać nastrój i charakter osobników spotykanych na swojej drodze, nawet jeśli tym osobnikiem jest blondynka z egzotycznie dalekiego kraju. Pewnie się zorientował, że nie trzęsę się ze strachu jak listek na baobabie, tylko podejmuję wyzwanie i też wlepiam się w jego ślepia.

– I co teraz, Mister Snake? – pomyślałam z satysfakcją, próbując skłonić go wzrokiem do natychmiastowego odwrotu.

Wąż wyraźnie się zawahał.

– Sssssssssmykaj ssssssssstąd – rozkazałam mu w myślach, a wąż niespodziewanie wykonał ślizg wstecz.

Z tego co wiem, jedynie kolibry potrafią fruwać do tyłu. Nie słyszałam też nigdy o wężu, który potrafiłby pełzać wstecz. Zagadka natury. Albo podstępny blef, którym wężowa rodzina próbuje mnie zwabić do pułapki. Rzuciłam mu kolejne rozkazujące spojrzenie, a wąż znów wślizgnął się z powrotem w swoje ślady, cofając się o co najmniej pół metra. Było to zjawisko tak zaskakujące, że najpierw wyciągnęłam szyję jak żyrafa, a potem mimo woli zrobiłam kilka kroków w jego kierunku. Wąż ani drgnął, natomiast na jego ogonie pojawiła się fatamorgana w postaci szeroko uśmiechniętej twarzy o skośnych oczach.

– *Dziurnip suo* – zagadnęła mnie wesoło, jak gdyby jedyną fatamorganą w tym idyllicz-



Moja znajomość języka  
khmerskiego została nagrodzona  
Ważnikami



nym obrazku była nie ona, tylko rozciągający się przed nią wąż.

– *Ciarapsula*<sup>1</sup> – odpowiedziałam grzecznie, starając się brzmieć możliwie najbardziej niewyraźnie. Jeśli tubylec wita cię uśmiechem i słowami nawet najbardziej niezrozumiałego powitania, mądrze jest odpowiedzieć dokładnie tym samym – w miarę możliwości, oczywiście.

Moja znajomość języka khmerskiego została nagrodzona. Wąż zniknął. Kobieta stojąca w łódce pod pomostem jednym zwinnym gestem nawinęła sobie węża na nadgarstek i szybkim ruchem umieściła go w koszu.

Wymieniłyśmy uśmiechy. Pomyślałam, że to całkiem dobry moment, żeby wycofać się na z góry upatrzone pozycje i już przystąpiłam do czynu, gdy nagle zorientowałam się, że jestem otoczona. Dookoła ze wszystkich stron nacierają flotylla małych łódek. Z pośpieszną niecierpliwością prują przez drobne fale jeziora, zbliżając się jak armia fruujących żelaznych pocisków z Gwiezdných Wojen. Najdziwniejsze jednak było to, że kapitanami tej morskiej dywizji były dzieci. Ubrane w okrągłe, szpiczaste czapki chroniące przed słońcem i rzucające na twarz lekko złowróźbny cień. Armia najwyraźniej została zorganizowana w naprędce, a dołączyli też do niej młodociani partyzanci, bo jedna z dziewczynek z braku łódki wsiadła do beczki i mocno trzymając w rękach wiosło, dopływała właśnie do pomostu.

---

<sup>1</sup> Poprawnie: *Chum reap suor* – „witaj” w języku khmerskim.



Na wodzie pojawiła się  
flotylla małych łódek  
Najdziwniejsze było to, że  
kapitanami tej morskiej  
dywizji były dzieci



Wiele słyszałam o Kambodży. O tajemniczych ruinach Angkor Wat połkniętych przez dżunglę, o imperium starożytnych Khmerów i o współczesnych Czerwonych Khmerach, którzy zabijali ludzi w okularach, uważając ich za wykształconych szpiegów obcych mocarstw. Nie spodziewałam się jednak, że w ciągu pierwszych kilkunastu godzin przyjdzie mi się zmierzyć z atakiem węża i morskiej floty kambodżańskich dzieci.

Podniosłam aparat fotograficzny. To zwykle działa odstrasżająco. Kiedy ktoś widzi wyceLOWANY w siebie obiekt, najczęściej instynktownie się peszy i odwraca. Niestety. Działo się tu coś dziwnego. Dzieci rozświetliły się jak latarnie, a na ich opalonych twarzach zakwitły szerokie uśmiechy. Korzystałam z tej rzadkiej sposobności, żeby fotografować je z bliska i z daleka, gdy nagle usłyszałam wołanie. Z tyłu pod pomostem w łódce wciąż stała radosna Kambodzanka w stożkowym kapeluszu, ta sama, która porwała Mister Snake'a. Teraz równie szybkim gestem wydobyła z czeluści zawiniątek małego chłopca i posadziła go na deskach.

Zrozumiałam, że on także ma zostać sfotografowany, co widocznie sprawiało tubylcom ogromną przyjemność. Zrobiłam mu kilka zdjęć, ale kobieta zmarszczyła z namysłem brwi, jak gdyby próbowała sobie coś przypomnieć, a kiedy opuściłam aparat, nagle sięgnęła z powrotem do łodzi i triumfalnym ruchem wyjęła węża, którego okręciła na szyi swojego synka jak żywy szalik.



Waż wisiał na sygi chłopca  
jak igwy Tuskwany nasujnik,  
macając powietrze rozwidlonym  
językiem



Rozległo się beztrasko wesołe chichotanie otaczających nas dzieci w łódkach, beczkach i na tratwach.

Chłopiec niezdarnie gramolił się spod splót ciężkiego węża, któremu też raczej nie odpowiadała ta pozycja, więc usiłował się z niego wyplątać i jak bumerang znów zaczął pełznąć w moją stronę. Dzieci kibicowały. Ja fotografowałam. Mister Snake galopował w swoim wężowym tempie w moją stronę, a jezioro jak gdyby nigdy nic tonęło w promieniach tropikalnego słońca.

To nie jest kraj dla zwykłych ludzi – przeknęło mi przez myśl, gdy wąż podpełzł na tyle blisko, że mógłby lizać moje buty, po czym szybkim ślizgiem został pociągnięty za ogon, by powrócić do pozycji startowej na szyi trzyletniego chłopca. Wisiał na nim jak żywy, łuskowany naszyjnik, macając powietrze rozwidlonym językiem. Czy tylko ja widziałam w tym coś dziwnego? Dla tubylców widok ten wydawał się tak normalny, jak korale na szyi królowej Karoliny.

Powinnam się zacząć przyzwyczajać. Uznałam, że najlepiej będzie to zrobić na stałym lądzie, z dala od piratów i gadów dusicieli. Opuściłam więc aparat fotograficzny i zrobiłam krok w stronę lądu. I wtedy odkryłam, że jestem osaczona, a wokół rozpoczyna się właśnie morska ofensywa.





## Łandula

Pomost zatrzeszczał pod naporem nacierających łódek, beczek i tratw. Siedzące w nich dzieci machały rękami i głośno krzyczały w moim kierunku, tak jakby chciały ostrzec przed grożącym niebezpieczeństwem. W pierwszej chwili pomyślałam, że nadchodzi fala tsunami, a dzieci chcą zabrać mnie do bezpiecznego schronu, ale jeden rzut oka na świat wystarczył, żeby sobie przypomnieć, że znajduję się na jeziorze, a na niebie jak dotąd nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka. Skąd więc ta dziwna rozpacz na ich twarzach i wrażenie, że jeśli nie zrobię tego, o co mnie proszą, to wydarzy się coś strasznego? A może to są więźniowie, którzy uciekli z lochów na wyspie, gdzie w tajemnicy powstaje nowe pokolenie Czerwonych Khmerów? Aż się wzdrygnęłam na tę myśl.

Czerwoni Khmerzy przejęli władzę w Kambodży w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku, z zamiarem przekształcenia kraju w niezależne od reszty świata państwo rolnicze. Kazali wszystkim obywatelom wyprowadzić się z miast i umieścili ich w obozach pracy. Przez cztery lata zginęły dwa miliony ludzi – z wyczerpania, głodu albo tortur. Nie, to niemożliwe, żeby ta historia mogła się powtórzyć.

O co więc chodzi? Dzieci krzyczały coraz głośniej i bardziej natarczywie. Nawet Mister Snake z niepokojem dotykał powietrza językiem, jak gdyby chciał się upewnić, czy otaczający go świat wciąż trwa w niezmienionej postaci. Spojrzałam pytająco na kobietę, która najpierw uwolniła mnie od węża, a potem zarzuciła go jak łąso na szyję swojego synka, ale była chwilowo zajęta usuwaniem wody wlewającej się do jej dziurawej łódki. Odwróciłam się więc z powrotem do armii młodocianych kambodżańskich piratów, kapitanów, marynarzy i majtków okupujących pomost na środku jeziora Tonle Sap. Gdy tylko robiłam najmniejszy ruch, zaczynali na nowo krzyzczeć, machać rękami albo potrząsać kłściami bananów. Nie wyglądało to jednak na wesołe pozdrowienia. Były to gesty niecierpliwe, przestraszone i pospieszne, tak jakby dzieci próbowały nadążyć za czymś, co ucieka.

O co tu chodzi?...

Po chwili spomiedzy zgiełku głosów zaczęłam wyławiać powtarzające się hasło, brzmiące w przybliżeniu jak „łandula”. W moich oczach chyba musiała błysnąć jakaś iskierka, bo wołania rozległy się z całkiem nową siłą:

– Łandula, łandula! – niosło się po jeziorze, a moje szare komórki usiłowały nadążyć za nimi i połączyć je z pozostałymi faktami w jakąś logiczną i spójną całość. Nie wiem jak długo musiałabym stać na tym pomoście i kombinować, gdyby nie pewien przypadek.

Przypomniałam sobie, że stoję z aparatem fotograficznym na szyi i odruchowo sięgnęłam po zaślepkę do obiektywu, ale gdy tylko włożyłam rękę do kieszeni, w całej flotyli pływającego najmłodszego pokolenia obywateli Kambodży wybuchło nowe poruszenie. I wtedy mnie olśniło.

– Łandula! Łandula! – krzyczały dzieci, a ja powtórzyłam za nimi powoli:

– Łan-dula? Łandula?!

– Łandula, Łandula! – odpowiedział mi zgodnie radosny wrzask.

Łandula! Łan czyli one, dula – czyli dollar w wymowie azjatycko uproszczonej. Wszystkim, czego chcieli ode mnie piraci i kapitanowie stojący w swoich łódkach, był one dollar, czyli po prostu jeden dolar, jeden amerykański banknot, który w tej części świata był symbolem bogactwa, a być może był też szansą na przeżycie do następnego dnia.



Dlatego jest tak, że ja śpię  
w padającej pościeli, piję  
zimny sok pomarańczowy  
i mam wszystko, czego  
potrzebuję do życia, goly  
tymczasem...  
cdn



– Łandula! – nacierały dzieci z wyciągniętymi rękami, a ja poczułam, że robi mi się gorąco.

Wiele razy spotkałam wcześniej dzieci proszące o pieniądze albo jakiś prezent. W miastach i wioskach afrykańskich, w Ameryce Południowej, prawie na każdej ulicy w Indiach widać ludzi ubogich, którzy proszą o wsparcie. Robią to na wiele różnych sposobów, czasem w milczeniu wyciągając rękę, czasem dodając do tego nieśmiały uśmiech albo kilka słów w łamanym angielskim. Ale nigdy wcześniej nie widziałam takiego strachu, rozpaczliwego wyrazu twarzy i przerażenia, że nic nie dostaną.

Czym prędyżej usiłowałam sobie przypomnieć ile jednodolarówek mogę mieć przy sobie. Zawsze zabieram drobne pieniądze i staram się mieć je pod ręką, nie w portfelu, tylko w kieszeni, żeby móc szybko po nie sięgnąć. Ale ile mogę mieć w spodniach? Dwa, może trzy dolary? Jak mam to podzielić? Komu dać?

– Łandula, łandula! – słyszałam ponagląjące głosy.

Miałam jedenaście pojedynczych banknotów, rozdałam je w ciągu dwóch sekund. Głosy nie milkły.

– Łandula? – zawołałam, pokazując z uśmiechem na dzieci po kolei: – Łandula, łan-



... Gdy tymczasem dziewczynka  
w borce na jeziorze Tonle Sap  
próbuje złapać na wędkę  
choćby najmniejszą rybę

